

DZIENNIK POKŁADOWY

Rozdział I - Cumowanie w Porcie

Dopłynęliśmy. Mały stateczek lekko i zwiewnie jak maleńki pyłek, zawitał w ustronnym Porcie - na Ziemi. Wszystko wokół wydawało się być takie duże i nieograniczone w swej doskonałości. Kolory mieniły się, tworząc najpiękniejsze pejzaże marzeń. Pustkowia i doliny wypełniał nieskazitelny spokój. I ta cisza, która aż dudniła w głowie. Przez chwilę można było przypuszczać, że jest się tu jedynym stworzeniem, a wszystkie skarby czekały właśnie na mnie, abym je odkryła i pokochała.

Powolutku, delikatnie położyłam swe znamię na krawędzi zbocza. Moja dusza poczuła się szczęśliwa i pełna chwały dla Twórcy, o którym przecież tak mało wiedziała, lecz wtedy jeszcze potrafiła Go czuć. Powoli stapałam wśród kwiatów i drzew. Wszystko tak ładnie pachniało... Płynęłam po łąkach rozpostartych na tle błękitnego morza i nieboskłonu. A gdy nacieszyłam swe oczy barwami, kiedy już poznałam pierwsze uczucie - szczęście, dotknęłam Ziemi i podążyłam jej śladem, wtedy zdołałam dostrzec Istoty. Były trochę rozmazane i jeszcze nie do końca widoczne. Mówiły coś, lecz nie rozumiałam. Dotykały, ale nie znałam sensu ich poczynąń. Czułam, że chcą mi pomóc przedostać się do ich świata. Pierwszy opór stał się zarazem moim pierwszym krokiem w ich stronę. To wydarzenie zostawiło w moim sercu ogromny ślad. Ślad poczucia przynależności do Nich. Nie umiałam odmówić, nie umiałam zapobiec przywiązaniu. Nie znałam tego. Lecz Oni wiedzieli. Zachowywali się jakby sami to niegdyś przeżyli. Robili wszystko, by nie zrazić mnie do ich życia. Dawali z siebie to, co najlepsze, ukrywając skrzętnie drugą, ciemniejszą stronę... Uważałam ich wtedy, za dobrych i mądrych członków natury. Muszę przyznać, że miałam szczęście by móc wychować się właśnie wśród Nich.

Mój statek osiadł na dobre w tym Porcie. Zapomniałam o celu mojej podróży. Chciałam poznać i zrozumieć wszystko co mnie otaczało. Z czasem okazało się jednak, że ten świat jest przesiąknięty złem. Ci ludzie popełniali błędy, których tak strasznie się wstydzili, że aż czasem zapominali, aby po prostu żyć. Czułam ból i lęk przed nimi. Trudno było zrozumieć, że tak musi być. Przyszły cięższe dni, gdy pojawiły się obowiązki. Zapomniałam o kwiatkach. Czasem tylko lekki podmuch wiatru przypominał mi o samotności. Zachód słońca zdawał się być zawsze taki sam ponury. Ciężka rzeczywistość przytłoczyła we mnie mą duszę. Odziana w grubą skórę,

gnałam wciąż ucząc się na nowo. A Oni.. Oni stawali się coraz to wyraźniejsi, dojrzałsi w mych oczach. I coraz bardziej źli. Potoczyło się to może zbyt szybko - od cudownego zauroczenia tą wyspą, do znienawidzenia w końcu samej siebie. Poczułam na własnej skórze ich gniew oraz wiele dziwnych i obcych mi uczuć.

Nie zdawałam sobie sprawę z tego, że Oni nie robią tego celowo. To było wpisane w ich naturę. Niszczyli siebie, rujnowali dzieła Twórcy natury. Ale byłam jeszcze za mała, by dostrzec wtedy prawdę.

W owym czasie często wracałam wspomnieniami do chwili, gdy tu przybyłam i nie mogłam pojąć, kiedy się zgubiłam. Wielokrotnie siadałam nad brzegiem wody, patrząc jak zmienia się moja powłoka. Tak bardzo stałam się podobna do Nich. W głowie huczało mi od gniewu i rozpacz. Tylko jedno pytanie, nurtowało i plątało mą duszę - DLACZEGO.

I choć słuchałam ptaków, szumu fal, nie znalazłam odpowiedzi. Ale na chwilę odetchnęłam. Starając się uspokoić, kładłam się nad brzegiem wody. Zadumana nad otaczającą mnie rzeczywistością, wpatrując się jak rujnują piękno, bezsilna i wyczerpana od ciągłej wojny z bólem, starałam się odnaleźć, choćby jedną nieskotłowaną myśl. Słabość i małość jest ułomnością nie tylko w ich życiu, ale także w moim.

I nagle pojawił się żal - jak mogliście pozwolić umrzeć temu, co najlepsze, najczystsze, najprostsze...

Uciekło życie przez palce rozmowy, nieusłyszanej kłótni z sumieniem....

Rozdział II – Zwijanie żagli

I przyszedł czas, by odpocząć. Lecz nie tak miało być. Uciekłam na łódź, chowając się przed Nimi. Zobaczyłam jak znikają. Przestraszyłam się. Nie chciałam tak samo odejść, jak Oni to robili. Czemu oswajali? Czemu uczyli? A potem tak po prostu zostawiali... Nie rozumiałam tego. Nie chciałam zrozumieć. Zarzuciłam żagle i powoli, bezszelestnie odpłynęłam w nieświadomość, lęk oraz ból. Choć nie chciałam być sama, to pragnęłam teraz się odciąć. Byłam wystraszona, mimo że byłam już daleko od tego świata. Czułam jak niewidzialna nić przez cały czas starała się mnie zawrócić. Czy płynęłam na zachód, czy też na południe, ciągle widziałam ten sam ląd. Z daleka nie wyglądał tak nieprzyjaźnie. Zdawał się zachęcać do siebie, dawał oczom wytchnienie i nadzieję. Złudzenia - pomyślałam. I nie poddawałam się w walce, wciąż gnając przed siebie, coraz dalej i dalej, w stronę światła.

A nocą. Nocą wpatrywałam się w czarną kopułę z tysiącami świecidełek uczepionych do aksamitu.

Coś we mnie umarło. Nie umiałam już kochać przestrzeni i morza. Nawet myśli nie chciały zagościć w mojej głowie. Wplątałam się w wir, który pchał mnie w nieznane, lecz czułam, że wracam. ..wracam... do domu.

...I znów te same twarze, radośnie wołające na mój widok. Oni mnie potrzebują - tak sobie mówiłam. Czekali na mnie tak długo. Lecz tym razem nie chciałam dać się zwieść, przywiązać i zaufać tym, którzy przecież potrafią ot tak zniknąć. Bez słowa.

Próbowali wytłumaczyć, że tak już jest i nikt tego nie zmieni. Zrozumiałam, że ja także podzielę ich los. Odkąd tu przybyłam, stałam się taka sama jak Oni, upodobiłam się do otoczenia. Zastanawiałam się wiele razy, co będzie dalej i czy Ci, co odeszli, też mają swoje łodzie? Dokąd odpłynęli?! I czy kiedyś wrócą...? Nie wiem. Słyszałam o krainie miłości, wiecznego spokoju i wybawienia. Może to, to samo miejsce skąd przybyłam...? Ale jak to sprawdzić.

I znów zaprzyjaźniłam się z Nimi. Sama także zaczęłam oswajać Innych. Mimo, iż to wszystko było skażone, nauczyłam się kochać i dostrzegać w tym wszystkim iskry dobra. Im bardziej świat stawał się dla mnie jasny, tym mniej wiedziałam. Coraz więcej doznań, emocji. Wpoili we mnie chęć nauki, która to kiedyś miała podobno stać się potrzebna. Praca mnie nie obciążała, lecz nie dostrzegłam sensu tej czynności. Ich teorie funkcjonowania świata były tak mało istotne.

Odkąd powstałam, musiałam poczuć, by uwierzyć i dostrzec prawdę - jeżeli leżałam na łące patrząc na barwne motyle, zaproacowane pszczoły, czy też przestraszone sarenki, to nie myślałam o tym, z czego są zrobione i jaki jest ich mechanizm bytu. To było mi nie potrzebne. I nadal nie jest. Lecz trzeba było dostosować się do reguł panujących w Porcie. Inaczej karano. Nie tłumaczyli dlaczego - mówili: „Tak już jest, zaakceptuj to”. Ich wiedza była tak wielce ograniczona i niepotrzebna, że bywały chwile, w których już nie dawałam rady powstrzymać złości na ich postępowanie. Bałam się, że skończę jak Oni. Wypruta z tęsknoty, czułości i takiej prostoty w codziennym postrzeganiu piękna.

Rozdział III – Cisza przed Burzą

A jednak. Zgubiłam to. Nie potrafię powiedzieć jak i kiedy, ale przyodziałam się w Ich skórę, stałam się poważna i sucha. Tak bardzo nie podobna do siebie. Tak bardzo zagubiona. I pusta. Uśpiłam swoją wrażliwość. A może to ona doprowadziła mnie do tego? Wtopiłam się w szarą, płynną masę, która zmierzała donikąd. Nic nie zmieniałam i w kółko popełniała te same błędy. Jak mogłam zapomnieć o prawdziwym życiu? Tu nie było miejsca na marzenia, sny i radość - taką prawdziwą i szczerą. Zabiegana, skołowana życiem gnałam przed siebie. Ja - opętany pyłek miernoty świata. Stałam się nicością. Zauważyłam, że My skupialiśmy się na tym, co Nas boli i rani. Co zgniata i czego nienawidzimy.

Moja łódź zgniła, obrosła zielonym błotem splunąć zazdrosnych potworów. Zmiażdżona, przytłoczona i opuszczona przeze mnie. Zabrudziłam sobą Ziemię. Splamiłam i zaszczepiłam swoją cząstkę zła w tym świecie. Przepraszam Was, przyszłe pokolenia i moich przodków żeglarzy. Zachowałam się jak Oni. Nie dziwcie się jednak im i mnie. Nie mieliśmy dobrych wzorców.

Przecież to śmieszne by zmuszać siebie samych do fałszywej radości, płynącej tylko raz w cyklu rocznym na cześć Twórcy. Niegdyś potrafiłam cieszyć się ze wszystkiego, co mi dał. Nie nazywałam Go, bo był tym, co dobre. Kochałam życie i każdą chwilę wypełnioną cudami doskonałości. I czciałam to cały czas, nie zapominając i nie zaznaczając dni, by o tym pamiętać. To żalosne, patrząc jak raz w roku wymusza się łzy smutku (nie wszystkim nawet to się udawało!), z myślą o tych, co odeszli, katując się wspomnieniami. To potworne widząc jak jeden drugiemu gwałci myśli. Naprawdę jednak okrutne było to, że tak po prostu potrafią wszystko zapomnieć.

Długo w tym siedziałam razem z Nimi i na pewno nawet teraz, nie wyplewiłam wszystkiego z mojej świadomości. Patrzyłam jak przyplływają nowe łodzie, czyste i schludne. Chciałam krzyczeć, by odpłynęli stąd póki mogą, ale głos zawsze nie potrafił przebić się przez ściany nicości. Bo nic nie dało się zrobić, nie umiałam ich ochronić. Może faktycznie tak już musi być.

Z dnia na dzień czułam w sobie rosnący niepokój i nienawiść do tej masy. Odnawiałam powoli łódź, bo tylko tam czułam się bezpiecznie. I to był mój sposób, by przeżyć. Chwila samotnej zadumy, ciszy i patrzenia wyłącznie na przyrodę. Dawało mi to tak wiele wytchnienia i sił, że wystarczało mi na spędzanie kolejnych dni na łodzi. Wtedy dostrzegałam, że żyję w ogromnym chaosie. Postanowiłam znaleźć inną drogę wspólnego życia z Nimi. W końcu zaczęłam podchodzić

do Nich z dystansem. I gdy przychodziły chwile ciężkie i wrogie memu istnieniu, umiałam załagodzić swój ból.

Znów rozróżniałam każdy zachód słońca, choć gdzieś głęboko czułam straszną pustkę, zaszytą pod odzieniem skóry. Moje oczy, pokryte lekką mgiełką, czasem moczyły się i traciły blask. Lecz ten smutek, nie był spowodowany przez Ludzi. Czułam, że wszystko mogłoby wyglądać inaczej, lecz wiedziałam, że muszę zaakceptować swój los.

Wieczorami, gdy piękny, jasny uśmiech zakwitał na aksamicie, wśród malutkich, błyszczących cukiereczków, przechadzałam się nad brzegiem zaśmieconych dróg. Chodziłam po kruchych kartonowych mostach i spotykałam tych, co nawet swej łódki już nie mają. Krople znów spadały na twardą, niczym niewzruszoną Ziemię. Odbite lekko na kamiennych płytach, toczyły się w dół do morza smutków...

„Zrozumiem ich”- powiedziałam sobie. To jedyna droga, by wybaczyć sobie i innym, że takie życie tworzymy. Lecz nie pogodzę się z tym, co złe. Oni zaszczepili we mnie tę część, gdy tu przybyłam. Myślę jednak, że to nie ich wina. Im też nie jest z tym dobrze. Ale wiercie mi, mało kto zauważy, że można inaczej. A jeszcze mniej z pośród Nich to zmieni. Nie wyprę się swojej natury. Tak samo jak Oni, kołyszę się po drodze, zahaczając o błędy i niepoprawne myśli. Wstydzę się tego. Lecz póki żyję, dopóty mogę to w sobie zmieniać.

Rozdział IV – Sztorm

Moi opiekunowie byli dla mnie bardzo dobrzy. Choć trochę śmieszni - myśleli, że nic nie rozumiem i wszystko dla mnie jest takie okryte prostotą. Ale ich rozumiałam i byłam wdzięczna za każdą dobrą chwilę. Lecz nie dałam się oswoić, zawsze starałam się wszystko robić sama, na przykład uczyć się samemu żyć w samotności. Tak oto zamknęłam się na ten świat. Czy mi było lepiej? Wtedy tak. Nie potrafili przebić mojej otoczki, a zarazem nie mogli mnie zranić. Skupiłam się na swej wiedzy. Chciałam poznać ich bliżej, aby lepiej poznać siebie. I wtedy pokochałam jeszcze bardziej tych ludzi, bo stworzyli dla mnie z tak wielkim staraniem, ciepły dom i przywiązanie, którego usilnie próbowałam się wyzbyć.

Morze było spokojne. Nikt nie przypływał, tak jakby przeczuwano, że burza wisi w powietrzu. Po raz pierwszy zobaczyłam czarne chmury, jak dym unoszący się ze spalonej łodzi. Były ogromne i ciemne. Nie wiedziałam, co oznaczają. Układały się na kształt wielkiego psa, który biegł w moją stronę. Z każdą minutą stawał się coraz większy, potężniejszy i bliższy mej twarzy. I ten głos przeszywający wnętrze, dobiegający gdzieś z oddali. Tak, on krzyczał i wzywał do walki. Więc wstałam - oto moja chwila - nie poddam się. Będę walczyć do końca. Ale, o co ja miałam walczyć? Co się w ogóle działo? Wtedy niestety nie zadałam sobie tych pytań, ślepo biegnąc do łodzi. Wiatr poszarpał mi żagle, ale mimo wszystko chciałam wyruszyć.

Pies stanął rozpostarty na tafli morza. Głos ucichł i zniknął. Odwróciłam głowę od wiatru, który nie potrafił mi powiedzieć, czego pragnie. Kołysząc się nieustannie, walczyłam by nie zatonać. A On tylko stał i patrzył.

Nagle opuścił głowę. Dotknął wodę wielkim pyskiem i zatrzymał wszystko wokół. Poczułam odpowiedź. Uciekłam na ląd. Tak bardzo pragnęłam żyć, a dał mi wybór. Ale przecież znałam zasady. Wszystko na Ziemi musi pozostać w równowadze. I pozostało....

Znienawidziłam siebie, Twórcę, życie. Myślałam, że podjęłam złą decyzję. Obwinałam siebie. Czarne chmury nie zniknęły znad mojej głowy, gdy inni już stali w słońcu. Choć ciężko im było wydostać się spod ich władania. Nie rozumieli mnie. Nawet się nie starali. Jak zwykle odebrali mnie nieprawidłowo. Nie potrafili zaakceptować prawdy, gdyż wydawała się im zbyt łatwa i za dobra na ten świat. A sama brnęłam coraz dalej.

Zamknęłam się na moim statku. Samotność zżerała mnie, nie przynosząc już ukojenia. Wiele dni, wiele lat tam pozostałam. Czekając aż ktoś otworzy drzwi i wyrwie mnie na zewnątrz. I próbowali śmiałkowie... Szkoda, że nie zdołali.

Sama w końcu wyszłam z ciemności, zaszczepiając w sobie ogromny pierwiastek zła. Wszystko stało się takie niepotrzebne, nie chciałam nic poznawać. A Oni bali się mnie, bo nie wiedzieli kim jestem. Nie znali niewybaczalnego. Podróżowałam, szukając odpowiedzi. Zwróciłam się do jasności, do zieleni, ale one nie słyszały..Błądziłam pośród nocy na samotnych drogach, prowadzących w kółko i w kółko do mojej łódki. Osiadłam na mieliźnie pustki i goryczy.

Rozdział V – Pełne morze

Ta podróż była najcięższą wyprawą. Kolejny raz wypłynęłam, by poszukać odpowiedzi. Nadal panowała wokół mnie ciemność. Lecz czuć było w powietrzu nadchodzącą wiosnę. Płynęłam powoli i spokojnie. Wreszcie poczułam wolność. Kolejne złudzenie... Jak można być wolnym, nie dając siebie życiu. Nawet nie potrafiłam wypowiedzieć jednego dobrego zdania, które w swoim sensie nie kłóciłoby się z kolejnym. Sprzeczność i nieład zapanowały nie tylko w mojej duszy, ale i morze przybierało dziwne kształty. Gdzieś z daleka, długo jeszcze docierał do mnie czyjś głos. Może wołali, abym wróciła? Nie pamiętam. W końcu nadeszły dni, gdy zobaczyłam delfiny. Zaprzyjaźniłam się z jednym. Był taki dobry i chyba równie zagubiony jak ja. Wieczory były piękniejsze od poranków. Patrzyliśmy w przestrzeń, zakochani widokiem nijakości. Wiele wytchnienia znalazłam u jego boku. Pamiętam, że miał przeciętą płetwę, którą codziennie pielęgnowałam. Trzeba było bacznie obserwować gojenie się rany, gdyż warunki morskie nie były ku temu sprzyjające. Wiele wiedział już o życiu. Być może dlatego, że dużo stracił. Bał się zaufać, zgubił się. Starłam się wykorzystać wiedzę, którą nabyłam na wyspie, by pomóc i wesprzeć go.

Trzeba przyznać, że popełniłam wielki błąd. Sama nie radziłam sobie ze swoim życiem i myślałam podobnie jak delfin, a stałam się jak Oni. Żałuje teraz, że musiał mnie wtedy spotkać. To nie było dobre dla obu stron. Gdyby tak można było cofnąć czas.

Postawiłam siebie wyżej, jako bardziej obytą ze światem, posiadającą ogromną wiedzę. Zapomniałam o tym, jak ja cierpiałam, gdy tak mnie traktowano. Ale wpojono to we mnie tak dogłębnie, że nawet będąc na pełnym morzu, oko w oko z przyjacielem, potrafiłam go w ten sposób potraktować. Nie miałam już nic z siebie. Gdzie odeszłam? Jednak on tego nie zauważył. Był ślepo zauroczony moimi słowami, a mnie podobało się być nauczycielem. W zły sposób starałam się przyswoić go do życia. Nie tak powinnam była się zachować. Żałuje tego. Szczerze.

Dni robiły się coraz cieplejsze, a wieczory coraz to krótsze. Zachody zdawały się być piękniejsze niż kiedykolwiek. Być może dlatego, że byłam z kimś kogo rozumiałam i potrafiłam wyczuć. Opłynęliśmy tak z delfinkiem tysiące mórz, gwiazd i zaznaliśmy odrobinę szczęścia. Nie przeczę, że czasem się nie zgadzaliśmy, ale ja, jako twórca Jego nowej świadomości, próbowałam nie dopuścić, by oswobodził się spod mojego wpływu. Czułam się tak dobrze i tak silnie, że wzięło to nade mną górę. Po prostu pożarł mnie poprzedni świat.

I gdy dostrzegłam, że to wszystko jest zgubne, kiedy zrozumiałam co zrobiłam, było za późno. Pewnej nocy po prostu odpłynął. Parę razy dostrzegłam go na widnokręgu, pośród tych, od których nie potrafił się oderwać. Tam był jego świat. Bardzo mi go brakowało, ale czułam boleśnie jego skazę.

Rozdział VI – Czas rozwinąć żagle

Spałam dryfując przez trzy pełnie trzech księżyców. Potem powoli zaczęłam budzić się z głębokiego snu. Kiedy otrzeźwiałam, zapomniałam nawet o czym śniłam. Rozejrzałam się wokół. Wróciłam na ląd! Uśmiechali się do mnie pomimo problemów, choć teraz potrafiłam Ich już wesprzeć. Stałam się silniejsza i mądrzejsza, widzę więcej, czuję w sobie Mądrość, która nie pochodzi z książek, lecz z doświadczenia. Stałam się Ich psychologiem, do którego Oni często przychodzili. Bo przecież każdy problem jest jak zagadka i da się go rozwiązać. Poukładałam wszystko w swojej głowie. Choć serce czasem trochę protestuje, to wiem kiedy trzeba go uciszyć. Tu w Porcie nie ma miłości doskonałej. Ona istnieje tylko na łodzi. I tylko wtedy, kiedy można całkowicie się otworzyć, wypuścić swą duszę, by znów mogła wolno podryfować. Teraz będąc na lądzie, odgrodziłam się od Ich zasad - bo ja do Nich nie należę (choć podobno muszę). Ich wartości mnie nie przekonują. Oni tylko narzekają i czasem udają, że są szczęśliwi.

Ale kto z Nich wypłynął tak daleko za horyzont człowieczeństwa, że zagubił swoje ciało i odnalazł prawdziwą duszę?